

18

66512W

Odra

Wrocław
02-2009
M. / Nr 2

Jacek Sieradzki

BŁĘDNE KÓŁECZKA CZASU

Teatr bywa mściwy; chwalić Boga, że nie zawsze mu się chce pokazywać pazury. Gdy jesienią sceny ogłaszały plany sezonowe, dwaj recenzenci, łódzki i warszawski, wyrazili zdumienie, że Teatr Nowy im. Kazimierza Dejmka chce odgrzewać niezbyt chlubny kawałek własnej historii: grać *Brygadę szlifierza Karhana*, niewznawianą od narodzin w roku 1949. Dostali za swoje. Podczas spektaklu aktor odczytuje ze sceny ich uwagi. Ironiczny ton, pełne politowania spojrzenia, wymowne parsknięcia śmiechem, oznaki oburzenia są tak mordercze, że obaj recenzenci, gdyby znaleźli się na widowni, winni co rychlej stamtąd wiać w trosce o całość swoich cennych osób. Stężone rozbawienie widowni mogłoby ich rozsadzić.

Co nie zmienia faktu, że – przy całej, zupełnie nieoczekiwanej przyjemności, jaką przynosi inscenizacja *Brygady*... – pytanie, w imię czego właściwie zostało przywołane z niebytu akurat to, słusznie zapomniane, dramaturgiczne arcydzieło, bynajmniej nie traci mocy.

Zaś odpowiedź, która narzuca się pierwsza, jest kompletnie wariacka: otóż *Brygada*... została galwanizowana w imię... czystej frajdy estetycznej. Siedzimy w sali jednego z peryferyjnych łódzkich domów kultury i oglądamy na monitorach, jak w westybulu, z którego chwili temu wyszliśmy, szamocze się samotny aktor. To epizodyczna postać sprzed sześćdziesięciu lat: Dejmek ją skreślił przed premierą, a ona teraz, niczym dusza niepochowanego nieboszczyka, błąka się po scenach w poszukiwaniu swego spektaklu. Snuje wspomnienia, prezentuje dawnych kolegów rozstawionych po kątach w postaci powiększonych i naklejonych na tekturze zdjęć, polemizuje z recenzentami. A w pewnej chwili zaczyna przedziwną grę dłońmi, formując z nich rzucane na ekran abstrakcyjne figury. Brzmi muzyka, którą chętnie zwie się dziś transową. I łatwo pogrążamy się w trans obrazów niemających nic wspólnego z Dejmkiem, socrealizmem, brygadą wirtuozów szlifierek bezkłówek i rokiem 1949.

Spektakl Remigiusza Brzyka to długimi minutami nieomal balet. Robotnicy w mundurowych uniformach rytmicznie przemierzają scenę; powtarzalność ich przemarszy i zgrupowań tworzy rytm widowiska. Nauka obsługi pompy,

polegająca na refrenowym powtarzaniu trzech czynności, zmienia się w całą etiudę perkusyjną: trójdzielny rytm słów i gestów aktorów komplikuje się, narasta, kulminuje, zamiera. Fabułę zredukowano do minimum, nie zwraca się nam głowy personalno-politycznymi konfliktami w brygadzie. Sekretarza partii zastąpiło o ileż bardziej atrakcyjne wizualnie słoneczko w postaci pięknej Moniki Buchowiec w pomnikowej wieczorowej sukni. Wpatrzeni w nią szlifierze pływają swoje zmechanizowane tańce, a rezultatem ich krzątania są tysiące malutkich wichajstrów, które z metalicznym grzechotem syją się z trzech rur podświetlonych niczym fontanny. Jest pięknie.

Tylko że nie da się do końca ciągnąć widowiska w tak pełnej abstrakcji. Muszą wrócić rudymenty fabuły – i w pewnej chwili zaczynamy jednak słuchać głupot o podnoszeniu wydajności pracy z czterystu do tysiąca sześćset procent, w imię zniweczenia knował wroga klasowego. Niczym podczas remontu, spod nowych, lśniących elegancką bielą ścian przebijają z powrotem dawne, szemrane kolorki, resztki obskurnych malunków. Teatr pcha się – owszem, bez ostentacji – w koleiny agitki, z jej fałszem, tromtadracją, sztucznym entuzjazmem, z całym smrodkiem socrealizmu, który nie wywietrzył przez lata. A inscenizatorom zdaje się to obojętne: ot, tworzywo, jak każde inne.

Czy rzeczywiście? Młodzi widzowie i tak nie wiedzą, do czego służyły takie brygady (inna rzecz: co w ogóle czytają z przedstawienia?). Widowisko jest efektowne i udane, dalekie od propagandy. Aliści przecież nie daje spokoju świadomość, że tytuł tak nacechowany historycznie, tak obciążony lajdackim czasem pojawia się jak gdyby nigdy nic na afiszu w funkcji, z grubsza mówiąc, pretekstowej zabawki. Bez cienia zażenowania. Ba, może nawet z dumą, że przecież znowu zaczynamy rozmawiać z własną historią?

*

Przez większość naszego dwudziestolecia (już!) wolności historia była poza zasięgiem zainteresowań; młodzi uznali ją za niepotrzebną. Zdawało im się, że dzieje zaczęły się z ich urodzeniem, a to, co było wcześniej, to sprasowane na płasko powstanie stycziowe Bolesława

Chrobrego i inne rupiecie. Dopiero ostatnio zainteresowanie przeszłością wróciło pod postacią zbiorowych emocji: pragnienia czynu (fascynacja powstaniem warszawskim), rozliczania win (Jedwabne). A dziś mamy jeszcze i inne zjawisko: historia staje się magazynem, rezerwuarem zdarzeń, konfliktów, postaw, idei. Można je sobie wypożyczać niczym książki z biblioteki. I używać do zaprojektowanych dosyć dowolnie celów, nie poczuwając się do lojalności wobec wziętych w leasing rekwizytów.

Tak jest w tej *Brygadzie szlifierza Karhana*, jakby wyprowadzonej poza czas, gdzie odrąconą duszą z niegdyśszej Dejmkowskiej prapremiery płacze się – nie całkiem potrzebnie – po ahistorycznym widowisku. I tak jest w *Lalce*, którą we wrocławskim Polskim przygotował Wiktor Rubin (scenografia: Mirek Kaczmarek, muzyka: Piotr Bukowski, premiera 20.12.2008). Reżyser postanowił nie odtwarzać na scenie akcji powieści Prusa, może i słusznie pozostawiając to zadanie wyświetlanym na okrągło w telewizjach filmom i serialom. Raczej przedsięwziął dopisywanie postaciom i sytuacjom skojarzeń, biegnących na przelaj przez czas. W Rzekim zobaczył pre-endecka, więc wpisał mu w tekst cytaty z książek Dmowskiego, napisanych grubo po śmierci powieściowego starego subiekta. Z życia arystokratów zrobił cały teatrzyk, pół-cyniczny, pół-pretensjonalny, posiłkujący się równie skutecznie cytatami z Mickiewicza czy Tetmajera, co metodami współczesnej celebryckiej tandety. Zaprojektował oryginalną maszynkę sceniczną do wyjmowania klasycznych postaci z ich naturalnego tła, wkładania ich w zaskakujące konteksty, odkrywania nieoczekiwanych, bo pozachronologicznych, implikacji ich postaw i czynów.

Byłby pochwalony, myślę, nawet przez tradycyjnie nastawionych obserwatorów, gdyby owe implikacje były głębsze, pełniejsze, gdyby prowadziły do mocnych, dramatycznych konfliktów scenicznych, a nie redukowały się do popisów szkolnego prymusa: „Proszę pani, mnie się skojarzyło”. Cóż z tego, że Rzecki mówi Dmowskim, skoro poza tym go nie ma w przedstawieniu, nie przyciąga uwagi, ginie? Ba, wszystko wypadłoby lepiej, gdyby udał się podstawowy, jak wolno domniemywać, zamysł: wyhaftowanie na kanwie *Lalki* opowieści o współczesnym arywiście, rzutkim i zakompleksionym człowieku z prowincji, robiącym karierę, ale niebędącym w stanie wbić się na podgniłe, lecz wciąż wszechmocne salony. To mogła być ważna wypowiedź pokoleniowa, trzeba by jednak odejść

dużo dalej od Prusa, rzeczywiście pisać nowy dramat. Ekipa Rubina wołała ograniczyć się do pasożytowania na – zdrowym, wbrew pozorom – ciele dziewiętnastowiecznej powieści i jedyne, co osiągnęła, to katalog mniej lub bardziej celnych dygresji scenicznych. Rozwiczrzonech, wielokierunkowych, denerwująco niespójnych, czysto efekciarskich, a niekiedy rozbrajających.

Wśród tych ostatnich na szczególną uwagę zasługuje sekwencja, by tak rzec, społeczno-intertwencyjna. Wokulski w *Lalce*, jak wiadomo, pomnaża pieniądze arystokratów, zgłupiałych w kapitalistycznych stosunkach, ale potrafi im, gdy przychodzi do rozliczeń, wytknąć gnuśność i tuczenie się ludzką krzywdą. Wiktor Rubin uznał, że też to potrafi. Wyprowadza na scenę współczesną bandę salonowców-darmozjadów i każe swemu Wokulskiemu wystawić im rachunek. Płynie litania życiorysów z życia (z Internetu) wziętych. Zdzisław z Jerzmanic, 31 lat. W firmie transportowej haruje siedem dni na tydzień, w święta też. Ma kłopoty z kręgosłupem, nie ma czasu ani pieniędzy, żeby go leczyć. Zarabia 1600 netto. („Ale mógł starać się o kredyt i wziąć w leasing ciężarówkę” – wtrąca ironicznie ktoś z salonu). Mariola z Zamościa, samotna z trójką dzieci. Salowa w szpitalu. Tysiąc na rękę plus zasiłki...

Fantastyczny pomysł na zaprezentowanie wrażliwości społecznej bez cienia intelektualnego wysiłku. Cóż za kłopot – zestawić dziesiątki takich przykładów. A jakaż forma zjadliwa! Arystokraci, czyli współcześni celebryci, beneficjenci systemu, paskudni burzuje (a jeden, nazwany w programie Księciem, jest księdzem, może ze względu na brzmieniowe podobieństwo) siedzą na wążiutkiej belce metr nad podłogą. Jak kury na grzędzie: napuszeni i śmieszni. Przed nimi zaś Wokulski Bartosza Porczyka chodzi i mówi, wydobywa z głowy kolejne przykłady ciężkich sytuacji życiowych i wiedza ta mu ciąży, lezie z coraz większym trudem, w końcu czołga się, przygnieciony brzemieniem krzywd. Publiczność zaś, miast dopingować go w rozrachunkach, milczy i wzdycha, zaś koniec pretensji przyjmuje głośnym „uff”. Co świadczy jednoznacznie o nikłym uświadomieniu klasowym widzów polskich teatrów i o ogromie pracy stojącej przed uświadamiaczami.

Niemniej już za tak żarliwy agitatorski wysiłek ekipa wrocławskiej *Lalki* winna zostać przyjeta ryczałtem w skład brygady szlifierza Karhana. Historia zatoczyła jeszcze jedno błędne kółeczko.

Jacek Sieradzki